

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

HANIA.

Czy znacie Hanię?

Nie.

A więc posłuchajcie! Powiem wam dużo ciekawych rzeczy o tej dziewczynce.

Najpierw zapewne chcielibyście wiedzieć, jak wygląda. Opiszę ją wam bardzo szczegółowo.

Jak na swoje dziewięć latek, jest dosyć wysoka, przytem czerstwa, zdrowa i zręczna. Długie i bujne ciemno-blond włosy spadają jej na ramiona; takimiś ciemnymi rzęsami ocienione piwne oczy wesoło na świat patrzają, a na policzkach rumianych, gdy się tylko Hania rozśmiejże, pokazują się dwa dołeczki, które prawie nigdy nie znikają z twarzy bo Hania zawsze się śmieje, zawsze skacze i płasza i prawie cały dzień Boży śpiewa, jak ptaszek.

To więc dobra, miła musi być dziewczynka — powiecie zapewne. Tak. Jest ona bardzo miła, dobra, łagodna, doskonale ma serduszek i zawsze była taką; ale dawniej, dawniej jedna straszna wada przyćmiewała te wszystkie zalety: Hania wielkim była próżniakiem. Przy igielce, szydelku i kwadransie usiedzieć nie mogła, do kółeczki wiecznie ją trzeba było napędzać; zamiast odrabiać zadane lekcye w zimie z piłką się uganiała, w lecie biegła po ogrodzie z ulubioną obręczą, albo też z ukochaną lalką, bujała się na huśtawce. Martwiło to więc bardzo jej mamę.

Razu jednego po ukończonej lekcji, która wcale nieświetnie się powiodła, wymknęła się Hania z lalką do ogrodu.

Niepokój jakiś ją ogarnia! Pierwszy raz uczuła na seryo, że źle postępuje. Lecz aby przytłumić ten głos sumienia, zaczęła skakać i śpiewać. Ucieszyła jednak bardzo prędko. Coraz

jakoś smutniej robiło się jej na sercu i wbrew swemu zwyczajowi, zamyślona, wolno spacerowała po cieniistych alejach.

Przyszła nad staw i zobaczyła, że pokojówka Franusia prała u wody. Dziewczyna pracowała tak pilnie, że nie spostrzegła nawet stojącej nad brzegiem Hani, a echo uderzeń kijanki, rozlegało się wokoło.

— Co pierzesz, Franusiu? — zapytała Hania.

— Ścierki, panienczko. A pani kazała mi się spieszyc, bo mam potem panienci pończoszki cerować. To też zwijam się okrutnie i za chwilę skończę już pranie.

To powiedziawszy, uderzyła jeszcze kilkanaście razy kijanką, leżące na wystającym z wody płaskim kamieniu ostatnie trzy ścierki, wydtęta je potem, zwinęła razem z drugimi, spuściła podgiętą suknię i pobiegła jak strzała ze swoim tłomoczkiem w stronę dworu.

— Po co się też ta Franusia tak spieszy do tego cerowania? To taka nudna robota!

W alei kasztanowej spotkała ogrodniczkę Michałkę, który gradował ścieżkę, a tak pilnie przykładał się do tej pracy, że aż mu pot spływał z czoła. Spojrzała na niego, a potem zaszła do warzywnego ogrodu, gdzie najemnica Kowalcukowa pęta ogórki. Spore kupy wyrwanych chwastów leżały w bródach. Chwasty te zbierała do płachty córeczka Kowalcukowej, mała Małgosia, rówieśnica Hani.

Skoro Hania zobaczyła Małgosię, bardzo się ucieszyła i rzekła:

— Chodź Małgosiu, bawmy się bawily; tak mi dzisiaj nudno!

— Oj, nie można, kochana panienczko — odpowiedziała Kowalcukowa. — Małgosia przyjdzie do panienci w niedzielę, jeżeli panienka będzie chciała, ale dzisiaj nie ma czasu; musi te badyle usiekać dla wieprzaczka i do tego pilno-

wał małego Piotrusia, który sam został niebotką w chałupie.

Ale zwracając się do Małgosi, dodała:

— Spiesz się, spiesz, córnuchno, bo tam Piotrek się obudzi i wypadnie jeszcze z kolebki.

Na słowa matki Małgosia zebrała prędko chwasty, zawiązała płachtę, którą jej Kowalcukowa zadala na plecy i, uginając się pod ciężarem, wyruszyła przez furtkę, prowadzącą do wsi.

— Małgosia taka mała, nieszczęściu, ta płachta z badyłem za ciężka dla niej — powiedziała cicho, jakby do siebie Hania, stojąc dalej nad Kowalcukową i patrząc w zamyśleniu za odchodzącą dziewczynką.

— Ciężka, bo ciężka, panienko, jak na takiego pędaka! Ale cóż robić? Trzeba się od młodości uczyć pracować. Przecież panienka też nie próżnuje. Małgosia ma swoją robotę i panienka swoją. Panienka nie potrzebuje siekać badyła, ale musi czytać, pisać, rachować, robić piękne robotki. Nikt na świecie próżnować nie powinien; sam Pan Bóg tak postanowił.

Słyszając to, Hania zaczerwieniła się po uszy i poszła w stronę ulu i ulubionej huśtawki.

Dobry syn.

Bajka z przed lat tysiąca.

Napisał Władysław Belza.

(Dokończenie.)

Na końcu wsi, dokąd właśnie zmierzał, spostrzegł kilkunastu ludzi po większej części poważnych gospodarzy, którzy stojąc przed progiem jego domostwa, radzili nad czymś gromadnie.

— Ani chybi, przepadł gdzieś w podróży, — mówił jeden.

— A chata od dawna pustkami stoi, dach zacieka, zręby gniją; — zburzyć to albo spalić do licha, — dorzucił drugi.

— A nuż wróci? zagadnął ktoś z gromady.

— Baj baja! od tylu czasów nie wraca. — szukajcie wlatru w polu! zaśmiał się jakiś parobczak.

Zastanowiły Janka te rozmowy i zbliżywszy się do gromady — zapytał:

— O czemże to radzicie tak ojcowie?

— A o tem mój staruszek, — odparł jeden z gromady, co robić z tą chatą? rozebrać ją, czy oddać komu na mieszkanie? Z dawnych jej właścicieli jedni pomarli, inni przepadli jak kamień w wodę — i pustką nam teraz stoi.

Zastanowiło Janka naprzód to, że choć z leciwymi ludźmi rozmawiał, żadnego z nich przecie nie znał ani pamiętał, a powtórę i to jeszcze, że go nazywali staruszką.

— Zbledziła mnie i wyniszczyła podróż, pomyślał sobie — biorą więc mnie za starszego niż jestem.

Biedny! w ciągu długiej wędrówki stracił zupełnie rachubę czasu i nie wiedział o tem, że od chwili opuszczenia wioski upłynęło przeszło pół wieku. Wiejskie dziewoje, które to niegdyś szczerzyły do niego zębki dziś o kiju wlokły ociężałe kroki, otoczone gromadką wnuków. On sam z dorodnego młodzieńca stał się zgrzybiałym starcem. Długa, srebrzysta broda spływała mu na piersi; wzrok stracił ogień młodzieńczy; słowem niedziwota, że ani on drugich, ani drudzy jego poznać nie mogli.

Było też niemało niedowierzania, gdy im Janek odkrył kim był i kędy wędrował, jakie przeszedł niebezpieczeństwa i jakich przygód doświadczał. Z początku wierzyć mu nie chcieli, ale gdy zaczął zwać po imieniu rówieśników swoich, ten i ów występował z gromady i mówił:

— A dyć to ja miły Janku!

I kręceno głowami i dziwowano się co nie miara, aż Janek zapytał:

— A gdzie moja matka?

Spojrzano nań z politowaniem i wzruszono ramionami, bo co było odpowiedzieć na takie z przeproszeniem niemądre pytanie?

Jankowa matka była już przed półwiekiem bezmała siedemdziesięcioletnią staruszką, a on chciał żeby dotąd żyła. Milezano więc i jakoś dziwnie patrzano na Janka.

Aż jakaś stara kobieta ulitowała się nad nim i wyszeptała cicho:

Umarła!

Jęknął Janek i zakrył sobie twarz rękami... a potem, spojrzawszy obłąkanym wzrokiem dookoła — zawołał:

— Prowadźcie mnie na jej mogilę!

Za chatką, o kilkadziesiąt tylko kroków, leżał cmentarz wiejski, czyli żalisko, jak go w owych czasach zwano, a za nim sporo mogił, z których jedne zdawały się być świeżo usypane, inne od dawna pozapadały się w ziemię.

Wskazano Jankowi mogilę jego matki. Bledak ukląkł przy niej, płakał, szlochał, — zawodził głośno obyczajem owoczesnych ludzi, — a potem powoli zaczął odgarniać ziemię z mogiły; wyrzucił ją garściami, aż wreszcie dobył się do prochów swojej rodzicielki. A wtedy podniósł się do kiju, wziął kilka kropel wody żywej, pokropił nią zwłoki matki i ogromnym głosem zawołał:

— Wstań matko! syn twój powrócił!

I stał się cud nad cudami: zmarła oddawna matka podniosła się z grobu, przycisnęła do serca pocziwego syna i iza rozkoszna stoczyła się z jej oczu na jego osiwiła brodę.

I drugim cudem stało się, że ta iza matki odmłodziła syna. Powrócił on do lat dawnych i krasy młodzieńczego wieku, i długo, długo po tym wypadku cieszył się jeszcze życiem ukochanej matki.

* * *

Rozgłos tego dziwu i tej nadzwyczajnej miłości synowskiej rozszedł się wkrótce po całej naszej ziemi. A choć następnie tyle przez nią przeszło barz i wypadków, choć tyle ważniejszych spraw i zdarzeń zaprzętało umysły ludzi, że o wielu rzeczach mieli czas zapomnieć: to przecież pamięć dobrego syna przetrwała wieki i pokolenia, i tak wam o nim dziś opowiadam, jak przed tysiącem lat dziadowie dziadów waszych opowiadali dzieciom swoim.



Sprawiedliwy sędzia.

Był pewien bogaty i zaszczytami obsypany mąż, który pełnił urząd sędziego z ścisłą surowością. W sądach swoich trzymał się przepisów prawa ledwie nie na ślepo. Na żadne wstawienie się nie miał względu, a też i największemi pieniędzmi przekupić się nie dał. Szanowano go bardzo, bano się jeszcze bardziej, ale miłości wcale nie miał u ludzi.

Pewnego dnia siedząc sobie na ganku, gdy przypatrywał się zachodowi słońca, wspomniął, że i jego życie także tak zgaśnie, może lada dzień, lada chwila, bo już też latami dobrze był nachylony do grobu.

— Dzięki Bogu, — myślał w duszy — spokojnie, jak to słońce, mogę się rozstać z tym światem; bo jak to światło niebieskie oświecało równie złe i dobre sprawy ludzkie, zyskałem imię sprawiedliwego sędziego. Nikogom nie ukrzywdziłem, nikogo niesłusznie nie obwiniłem. Występny oszukaniec zawsze surowo był przezemnie ścigany, bom umiał wymacać wszystkie jego skrytości. Spokojnie więc mogę położyć głowę: za sprawiedliwość na ziemi czeka wieczna nagroda w niebie.

Tak mówił sędzia i rad z siebie przechadzał się po dziedzińcu.

Wtem ujrzał przechodzącą komornicę; a ujrawszy ją, zawołał z daleka:

— A nie zapominaj no, że od ciebie czynsz się należy i podatek.

Biedna wdowa przybliżywszy się doń z pokorą, trzymając jedno dziecko na ręku, drugie starsze prowadząc, rzekła z niskim ukłonem:

— Panie mój, znasz naszą nędzę i upadek; Bóg świadkiem, zapłacić nie mogę.

Sędzia odpowiedział groźnie:

— Nie zapłacisz? w takim razie prawo sobie poradzi. Kto się niszcza regularnie z powinności swoich, ten tylko może się spodziewać litości u mnie.

Rozpłakała się uboga wdowa, znając surowość sędziego. On zaś spojrzął na nią z pogardą i skinął, by precz odeszła.

Zdarzyło się, iż w tej okolicy panowała zaraźliwa gorączka, na którą umierało wiele ludzi. I Anioł Pański nawiedził także dom sędziego, a oraz stanął przed łóżem ubogiej komornicy.

Sędzia przeczuł posłańca śmierci; myśli jego pomieszały się i w oczach zrobiło się ciemno.

Nagle ujrzał się w jakimś gmachu pełnym światła i wspaniałości; był to tron Najwyższego i on stał przed nim. Chóry aniołów otaczały w uroczystym milczeniu tron Boski, z którego taki blask uderzał, że oczu podnieść nie śmiał, tylko je spuścił na siebie. Ale jakże się wzdrygnął i przeraził, gdy spostrzegł na swoim odzieniu same błoto i plamy, — aniołowie patrzali na niego, a on wstydem spłonął i cofnął się.

Aż oto, o kilka kroków przed nim, klęczała jakaś postać w szacie białej jak śnieg i przejrzystej, która gdy opromienioną twarz podniosła, sędzia poznał w niej komornicę Zuzannę, na którą często patrzył z pogardą; ten widok go przeraził i rzekł do siebie:

— Czy podobna, aby taka prostaczka stawiała się przed Bogiem w szacie, jaką aniołowie noszą, a ja wierny sługa sprawiedliwości, żebym się w lachmanach pokazał?

Wtem grzmiący głos zawołał go po imieniu; sędziego mróz przeszedł od stóp do głowy, bo przeczuł, że się straszny sąd nad nim zaczyna. — Przed jego oczami pojawił się obraz: było to więzienie; na zgniłej słomie siedział więzień i wstrząsał kajdanami. W tym więzieniu na pierwsze spojrzenie poznał jednego ze swoich dłużników, którego niegdyś był ścigał całą surowością prawa; obok słyhać było łkanie opuszczonej małżonki i kwilenie głodnych dzieci, wołających do niego:

— Wydarłeś nam więcej, niż życie, bo zabierając nam ojca, skazałeś na głód, na nędzę i wstyd!

Śmiertelna bladeść okryła oblicze sędziego, gdy wyczytał przed sobą płomienisty napis Pańskiego wyroku:

„Jaką miarką mierzysz, taką ci będzie oddane”.

W tej chwili straszny grom zatrzęsł niebieskie sklepienie, a oko przedwiecznego Boga błyszczało w ciemności jak trawiący płomień; i głos dał się słyszeć:

— Spójrzij na swoją szatę, czybyś śmiał stanąć w niej przed oblicznością Pańską?

Sędzia zakrył sobie oczy i zachwiał się na nogach.

— Jakiego się trzymałeś prawa? — pytał głos.

— Szedłem za sprawiedliwością — wyjąknął sędzia.

I oto otwierała się przed nim ciemna brama, z której przestrach wyglądał, jakby z głębi grobu.

I głos znowu zawołał:

— Zuzanno! — a głos to był wdzięczny i miły, jak chłodne technienie wietrzyka w dniu gorącym; sędzia usłyszał te wyrazy:

— Zbliź się do mnie, Zuzanno! miłość zmazała wszystkie grzechy, zbliź się, sprawiedliwa niewiasto, coś wolała znosić nędzę, głód, niż przeklinać swego prześladowcę! Pracowałeś dla drugich w pocie czoła, a oni ci zatrzymali zapłatę. Nędza na ciebie przyszła, i nikt nie miał litości nad tobą! Dłużników swoich nie powoływałaś przed sądy, i gdy twej pracy znowu potrzebowali, służyłaś im ochotnie, ponieważ czułaś ich potrzebę, jak swoją własną, a nadto nosiłaś w sercu przykazanie twego Zbawiciela i tę nieograniczoną miłość, która wyższa jest nad wszelkie prawa i ustawy.

I oto dwaj aniołowie zstąpili z niebieskiego tronu, niosąc wieniec życia wiecznego, który włożyli na czoło światobliwej niewiasty, a tymczasem chóry aniołów śpiewały hymn:

„Zbawiony, kto żyje w miłości: albowiem żyje w Bogu, a Bóg w nim; jedna miłość zbawia na wieki”!

Sędzia wyciągnął ramiona do tych niebiańskich postaci, lecz przed nim otworzyła się szeroka przepaść, która go oddzieliła od wybranych; ciemności nocne ogarnęły go, a grom Pański ryczał nad głową i pod nogami; w tej okropnej chwili zbudził się sędzia.

Przestraszony, oblany potem, zerwał się z łóża i zawołał:

— Chwała Bogu! to tylko był sen!

Oczy jego szukały blasku dziennego i nie mogły się od niego oderwać, jak tonący od porażonej skały. Wtem ciszę poranka przerwało

bicie dzwonów i prawie pod jego oknami rozległ się głos żałobny. Był to pogrzeb Zuzanny, biednej komornicy, która umarła na gorączkę i teraz ją prowadzono na cmentarz. Za trumną szły płaczące dziatki i kilku sąsiadów i sąsiadek oddawało ostatnią usługę.

Sędzia martwy jak kamień, patrzył na pogrzeb, a w jego sercu budziło się coś, jakby nowe życie.

— O wszechmogący Boże! — zawołał — pozwól mi jeszcze pożyć jakiś czas, ażeby ten promień litości, który na mnie zesłałeś w śnie ostrzegającym, przejął mnie na wskroś i wydał ze mnie owoc pożyteczny Panu.

I upadł na twarz, ukorzył się przed Bogiem w łzach i skrzeszeniu, gdyż dopiero teraz poznał, że był najnikczemniejszym z ludzi, chociaż mu się zdawało, że nie było nadeń sprawiedliwszego człowieka.

Kiedy zaś biedne sieroty powróciły z grobu Zuzanny, wziął je za ręce, wprowadził do swego domu i odtąd opiekował się nimi, jak własnymi dziećmi.

Od tego czasu, sprawiedliwość i miłość chrześcijańska stały obok siebie w każdym jego czynie i wyroku; nauka bowiem, którą odebrał we śnie, mocno wryła się w pamięć; mając przede wszystkim na myśli osiągnięcie wiecznego zbawienia, rządził się czystą miłością, która jest najlepszym prawem na ziemi.

Zagadka

I.

Płęć na dachu wróbbi ślada,
Ktoś strzelił — i jeden spada;
Ileż jeszcze mądry Stachu
Wróbbi zostało na dachu?

II.

Dwóch ojców i dwóch synów poszło na polowanie (na gony); zabili trzy kaczki, z których każdy wziął po jednej kaczce. Czy to możliwe?